

Stado – 2 – CMM

9 listopada 2010

„Znam minione pokolenia stworzeń, i te co żyją teraz Ardżuno, a także te, które nadejdą. Mnie natomiast nikt nie zna.”

Bhagawadgita VII – 26

Szósty zastępca szefa szefów Sieci, Harper, znalazł się w swoim gabinecie zdyszany do granic wytrzymałości biednego, przetłuszczonego serca. Ten prowadzony od miesiąca trening odchudzający, polegający głównie na bojkotowaniu windy, już mu wychodził bokiem. Niby niewysoko, trzecie zaledwie piętro, ale miał dość. Spojrzał krzywo na Susan, stukającą wściekle po klawiaturze małej Olivetti i zaczął z móżdżkiem zdejmować z siebie przemoczony, elegancki niegdyś płaszcz służbowy. Harper nie był jakiś tam kutwą czy dusigroszem, ale uważał po prostu, że nie ma sensu wyrzucać rzeczy które jeszcze całkiem dobrze wypełniają swoje funkcje. Poza tym przywiązywał małą wagę do własnego i tak w naturalny niejako sposób nieatrakcyjnego wyglądu. Stąd w Firmie nosił przezwisko Smołuch. Harper sądził, że z powodu cygar i nawet mu się to podobało. Jego ekstrawagancki w formie nałóg został przez tę hołotę zauważony.

– Jak się spało? – zgrzytnęło znad klawiatury.

– No cóż, żyję jeszcze, jak widzisz. – ledwie wystękał wyszarpując rękę z przemoczonego rękawa. Zdjął wreszcie sfatygowane okrycie i powiesił w szafie. Wolno, z pewnego rodzaju namaszczeniem, podszedł do jedyne w tym pokoju wygodnego fotela obitego skórą i zapadł weń z westchnieniem. Jest wreszcie u siebie.

Czeka go typowy, normalny choć niezupełnie co prawda spokojny dzień w ulubionej i co tu gadać, znanej wszystkim Firmie, tej huczącej nieprzerwanie fabryce, wielkiej, podobno z naukową precyzją zorganizowanej przetwórci obrazu, słowa, prawdy i

fałszu, pereł i ekstrementów, oczywiście bez jakiegokolwiek wartościowania poszczególnych składników. Skądże! Wszystko to razem musiało być codziennie i na bieżąco dokładnie przemielone w firmowych, sterylnych młynach pokojów redakcyjnych, przeżute na bezkształtną papkę, przyprawione według aktualnych gustów telewizyjnych, uformowane odpowiednio z użyciem obowiązujących właśnie receptur i dopiero po ostrej selekcji stylistycznej, rzucone na utrwalający ogień antenowy. Reklamacje nie zdarzały się a jeśli nawet to i tak były grubo po niewczasie.

Pierwsze co dostrzegł na wielkim jak przewrócony, staromodny piec kaflowy biurku, co niezmiennie dostrzegał codziennie rano, to ogromny fajansowy kubeł z jego inicjałami, poorany i porysowany zmarszczkami lat używania, napełniony teraz, jak nie bezpodstawnie sądził, gorącym kakao. Sięgnął ostrożnie.

– Gorące! – zasyczała uprzejmie Susan, jakimś cudem nie odrywając wcale wzroku od wystukiwanego tekstu.

– Tak? – podziękował za ostrzeżenie i głośno siorbnął potężnego łyka znakomitego napoju jaki mogła robić tylko ona, jego mąż a raczej stara panna opatrznosciowa.

Pracowali ze sobą już czternaście lat i do tej pory nie udało mu się ustalić skąd ta nieprzystępna, dość zresztą przystojna i jeszcze pociągająca, czterdziestoletnia baba, zawsze bezbłędnie, z dokładnością do dwóch minut, wiedziała czy jej szef się spóźni i ewentualnie o ile. Co prawda spóźniał się chyba codziennie ale każdorazowo z innej przecież przyczyny. Harper, jako jeden z najważniejszych, nie musiał być punktualnym, ba, nie musiał przychodzić w ogóle a w każdym razie niezbyt często. Jednak „dla pewności” oraz z powodu organicznego wręcz przyzwyczajenia do porannej aktywności i niespotykanego, przynajmniej demonstracyjnie okazywanego przywiązania do Zasad, starał się codziennie stawiać w pracy o dziewiątej.

Dzisiaj powodem spóźnienia był ten prymitywny i arogancki szczył od Johnsonów, który zaparkował swojego hałaśliwego rzęcha akurat na jego podjeździe i jeszcze głośno pyskował gdy został wywleczony z łóżka przeraźliwym wyciem klaksonu Harpera. Zrobiła się niezła awantura z odsuwaniem rolet, wychylaniem się wściekłych, nieprzychylnych twarzy sąsiadów zza firanek, wygrażaniem pięściami. A wszystko to w odświeżającym, porannym, wrześnieym deszczu. Lubił deszcz w ogóle, a rano i w drodze do pracy w szczególności.

– Był szef – skrzekło informująco poprzez elektryczny klekot.

– Tak? I co? – znowu siorbnął potężnie i ponownie głośno.

– Nic. Pokręcił tylko głową.

– Oj! Mocno?

– Jak zwykle.

– Trudno. – nie przejął się zupełnie. – A co ty pisesz?

– Robię zestawienie dla Maxwella. – nawet się nie odwróciła.

– Dla tego ojszczynogi z ósmego?

– Tak.

– No, no. – podsumował i zabrał się spokojnie za stertę codziennej korespondencji.

Harper nie był wulgarny z natury, ani nawet bezpośredni czy tym bardziej bezczelny. Jednak lata pracy w Firmie zrobiły swoje. Tutaj po prostu nie można zachowywać się inaczej. Zwłaszcza na takim stanowisku. A Maxwell, kierownik działu interwencji prasowych, całkiem słusznie cieszył się tym szczególnym przezwiskiem. Na którejs z bibek Bożonarodzeniowych nie potrafił zapanować nad swoim wsem i wobec znanym upodobaniem do mocniejszych aperitifów i na dużym już gazie, nie chcąc uronić ani chwili z przyjemnej zabawy,

pofolgował fizjologicznie... w własne buty. Bez zbędnej fatygi z otwieraniem rozporka. Biedak sądził pewnie, że rzecz pozostanie niezauważona, jednak nieopatrznie ubrał się w jasne, obcisłe spodnie, które prawie natychmiast zdradziły wesołemu towarzystwu ten nieprzyjemny wypadek. Łaził tak po wszystkich pokojach popijając wszędzie po trochu aż zasnął smacznie gdzieś pod ścianą. Odtąd nikt już nie nazywa go inaczej.

Rozproszoną jeszcze nieco uwagę Harpera zwróciła mała, szara, tandetna paczuszka z twardą na oko zawartością. „Chyba nie bomba?” pomyślał i rozpakował ostrożnie. W środku była kaseta video i niedbale złożony skrawek taniego papieru listowego oraz jakiś kolorowy periodyk o wdzięcznym tytule „Science”. Ponownie przełknął łyk smakowitej zawartości osobistego kubła. Zaczął od listu.

„Szanowny Panie.

Jestem już w pełni gotów do realizacji mojego planu a ponieważ Pan, jako jego istotna składowa, musi dokładnie wiedzieć o co chodzi, proszę spokojnie i dokładnie obejrzeć sobie załączoną kasetę z niezbędnymi wyjaśnieniami. Mam pewność że będziemy mogli niebawem porozmawiać osobiście.

Z poważaniem:

H.G.Ronson”

Zaintrygował go nieco ten pewny siebie, nieznany facet. Harper nie był w Firmie figurą najważniejszą ale miał ustalone od lat wielkie wpływy i znajomości. W końcu to on decydował o szkieletcie ramowym programu, to on obsadzał spikerów i promował gwiazdy, to on dopuszczał lub odrzucał tematy reportaży i newsów. Trzymał twardą, grubą łapę na pulsie i nie zamierzał jej luzować. Nie ingerował tylko w reklamy i filmy, zresztą to nie jego działka a na twórczości filmowej, na wszelkich aktualnych trendach i modach znał się jak piekarz na produkcji łodzi podwodnych. Funkcjonował jako Ktoś w zasadzie

jedynie w Firmie – normalna publika nic o nim nie wiedziała. Siedział sobie za tym swoim wielkim biurkiem i po cichutku dyrygował. Jedyny jego przełożony to sam Wielki Boss, Erni Cornick, główny właściciel największej w kraju a może i na świecie sieci TV, kumpel od lat i wydaje się przyjaciel. Chociaż często, chyba jednak ostatnio za często, nie zgadzali się ze sobą, zwłaszcza co do polityki zatrudnieniowej w Firmie.

Harper jak dotąd nie mógł zrozumieć po co komu tyle etatów – zwłaszcza w blokach produkcyjnym i emisyjnym. Czy naprawdę do każdej cholernej dziesięciominutówki musi być zamawiana nowa, jaskrawo, jarmarcznie kolorowa i wściekle droga scenografia? Czy do każdego z piętnastu bloków informacyjnych potrzebna jest inna, wyfiokowana i wyszczekana jak sto diabłów spikerka? Czy na byle dupka mówiącego swoje żałosne dyrdymały musi patrzeć osiem ruchliwych jak jakieś oszalałe monstra w okresie gorączkowej ruiny wiosennej kamer, przełączanych w te i we w te z wypełnionej zawsze tłumem naćpanych, pożałuj Boże realizatorów, reżyserki? No, ale ta wspaniała organizacja i koszarne koszty firmowe to na szczęście nie jego problem. Rzucił krzywe spojrzenie na wyjątkowo mało wykwinłą przesyłkę i dopił letnie już kakao.

– Susan, kiedy to żałosne draństwo przyszło? – zapytał sekretarkę wkładając od niechcenia kasetę do kieszeni magnetowidu.

– Dzisiaj rano – odwróciła się nareszcie od klawiatury. Na ekranie włączonego przez Harpera służbowego TV pojawił się wielki czerwony napis $E=mc^2$ i to wszystko. Nic się dalej nie działo.

– Co jest? – warknął – Znowu to pudło... – nie dokończył.

Usłyszeli w dziwny sposób zniekształcony ale jednak wyraźny, męski głos.

„Szanowny Panie, Szanowni Państwo. Ponieważ nie zastrzegłem

oglądania tej kasety w samotnym zaciszu, będę zwracał się do audytorium szerszego niż tylko szacowna osoba pana Harpera. Mimo to jednak o wszystkim co się z tą sprawą wiąże będzie decydował wyłącznie on. A więc, jak zapewne wiecie, współczesny świat ginie powoli z powodu odpadów, śmieci i zanieczyszczeń, zwłaszcza energetycznych. Przeludnienie, głód, nieustające bzdurne wojny, wyczerpywanie się kopalin też robią swoje. Ogólny brak perspektyw, postępujący, samobójczy uwiąd cywilizacyjny. Co robić? No cóż, prawdę mówiąc nie ma żadnego wyjścia z tego bagna, chyba że... posłuchacie starego Ronsona.”

Harper skrzywił się z niesmakiem jako, że nie przepadał za nawiedzonymi ekologami a takie materiały napływały do Firmy co i rusz. Zawsze było z tym masę problemów. Od tylu już lat coraz to inne gremia i mnożące się jak króliki organizacje ekologiczne robią ludziom zamęt w głowach i jakoś niewiele z tego wynika. Ba! Świat jak był do chrzanu takim jest w dalszym ciągu i raczej niewiele wskazuje na rychły, w ten czy inny sposób spektakularny koniec, choćby ekologiczny. Jeżeli można być czegoś w tym względzie pewnym, to chyba dalszego, starczo powolnego, śmierdzącego uwiądu. Z niewykluczonym ropnym zapaleniem przeżartych do cna płuc.

Już miał wyłączyć odtwarzacz, ale w tym momencie na ekranie pojawił się tragiczny obraz wypalonej ziemi, po której kotłowało się rozpaczliwie jak w jakimś sennym koszmarze mrowie ludzkie – półszkielety snujące się w oparach trującego, żółtawego smogu. Wychudzone, obdarte dzieci walczyły ospale o żałosne szczątki martwego kota. Brudnoczerwone, zamglone niebo pogłębiało przygniatający w swej ponurości obraz. Pełna, oczywista manipulacja. Ni stąd ni zowąd na horyzoncie wychynął ostry, błękitny blask i zza rachitycznych drzewek, zza potrzaskanych wieżowców, przebił jarmarcznie piękny, wielki, zajmujący pół nieba, stylizowany na gotyk, różowiutki napis „RONSON”, w aureoli błękitnych, symetrycznych promieni.

– Ale chała. – stwierdził zde gustowany tą bazarową inscenizacją Harper i zapalił swoje ulubione, pokakaowe

cygaro.

– Faktycznie. – poparła go zdecydowanie Susan lecz mimo profesjonalnego niesmaku oboje oglądali to gównu dalej.

Tymczasem obraz się zmienił. Na ekranie ujrzeli na tle rachitycznego lasu, stary, sfatygowany mocno model Chevroleta Cabrio z jakimś białym facetem za kierownicą, zabezpieczonym przed rozpoznaniem banalną, karnawałową maską na twarzy, fikuśnie zakrywającą okolice oczu i kawałek nosa, ubranego w usmarowany kombinezon roboczy. Kierowca wykonał tym szmelcem dwie rundy, zatrzymał się i wyłączył stękający silnik. Spojrzał prosto do kamery i film ponownie znieruchomiał. Usłyszeli tekst:

„To ja, Ronson. Nie pokazuję swojej twarzy bo taki jest mój plan i na wszystko przyjdzie czas. Teraz kontynuuję. Tak więc w obliczu wiadomych perspektyw jest tylko jedna, jedyna możliwość. EMIGRACJA. Ratunkowa emigracja ludzkości. Dokąd? W kosmos oczywiście, na inne dziewicze planety. Zaczynać od początku – mądrzej, ostrożniej. Po przygodę, po nowe motywacje, po nadzieję i sens, po człowieczeństwo. W porządku, zapytacie ale jak, czym, za co? Ano właśnie. I tutaj wkracza Ronson, dodam Wielki Ronson, jeden jedyny który wie jak to zrobić tanio, szybko, bezpiecznie i solidnie. Wariat? Idiota? Popatrzcie!”

Nieruchomy obraz drgnął. Mężczyzna w Chevrolecie pochylił się, przekręcił coś na tablicy rozdzielczej i nagle, niespodziewanie, motoryzacyjny zabytek powoli, delikatnie, bez żadnego kołysania, zaczął ostrożnie unosić się w powietrze. Wzniósł się na około trzy metry i znieruchomiał. Zamaskowany typ wychylił się lekko i pomachał ręką do kamery, następnie wstał, przełożył nogi przez drzwi i zeskoczył z tej wysokości na jakieś podstawione materace. Samochód pozostawał w zawisie. Teraz kamera najechała na pojazd, i prowadzona powoli, pokazywała go z każdej strony na tle zachmurzonego nieba. Tak by przekonać widza, iż to nie żadna sztuczka, że nie jest on

podtrzymywany jakimś dźwigiem. Filmujący tę scenę nieznany operator wykonał łagodny odjazd i w szerszym planie Harper i Susan zobaczyli obok wiszącego Chevroleta również wiszącą na podobnej wysokości kanapę, zwykłą starą, najpewniej pełną pcheł, kanapę.

– To jakiś cyrk czy co? – zdumiał się Harper i o mało nie połknął cygara. Susan, lepsza w ocenie technicznej zdjęć, pokręciła tylko głową i powiedziała:

– Szefie, to jest dobre.

Tymczasem operator obniżył kamerę tak by można było zobaczyć tego samego faceta w idiotycznej masce jak przystawia do kanapy wysoką drabinę i skrada się po niej ostrożnie aż do samej góry, ciągnąc za sobą mikrofon z długim przewodem. Wgramolił się wreszcie i ułożył wygodnie na boku jak jakiś basza, po czym odepchnął drabinę która upadła z hukiem. Odpoczął chwilę i patrząc w kamerę zaczął mówić.

„Proszę Państwa. To przedstawienie robię tylko dlatego by uwiarygodnić moją historyjkę. Spodziewam się, że da Pan Panie Harper tę kasetę swoim technikom do wszechstronnego sprawdzenia. Nic ciekawego nie wykryją bo nie ma tu żadnego szwindla. Po prostu. To co widzicie dzieje się naprawdę i znaczy tylko tyle, że znalazłem sposób na banalnie proste i tanie pokonanie grawitacji. Zrobiłem to i niech mnie szlag, działa jak w zegarku! Ale nie to jest najważniejsze. Moja metoda pokonywania ciężenia, twierdzę, że jedyna, pożera mnóstwo energii elektrycznej a jak Państwo widzicie, poza przewodem mikrofonu nie ma tu żadnych innych kabli”.

Tu wychylił się by pokazać ręką że mówi prawdę i o mało nie spadł z lewitującej swobodnie kanapy. Operator kamery najwyraźniej też się przestraszył – obraz zafalował i przez chwilę zobaczyli większy kawałek lasu, jakieś łagodne zbocze oraz małą łąkę na której prawdopodobnie odbywał się pokaz.

„Cholera! Przepraszam, już dobrze. A więc jak mówiłem nie ma

tu żadnych kabli mimo, że ten szeszlony pożera w tej chwili energię o mocy jednego kilowata. Tyle co porządniejsza kosiarka do trawy. Źródłem energii jest małe pudełeczko o wadze paczki papierosów, zasilające układy napędowe ... obiektu. I proszę mi wierzyć, jest to praktycznie niewyczerpywalne źródło mocy. Ów wspaniały mebel wisi tutaj już od dwóch lat i może jeszcze wisieć następnych dwa tysiące. Tak proszę Pana, to jest istota sprawy i o to będziemy walczyć. Żeby jeszcze uatrakcyjnić pokaz, wykonam kilka manewrów."

Ronson, bo tak się przedstawił, pogmerał gdzieś z boku kanapy i ta delikatnie, niezwykle pewnie i stabilnie, opuściła się wraz ze swym pasażerem kilka centymetrów nad trawę. Zostawił tu mikrofon i ponownie uniósł się na tym fantastycznym pojeździe w górę, by następnie wykonać kilka obrotów w lewo, w prawo, zrobił dwa delikatne przechyły i łagodnie poszybował w kierunku lasu. Zaprezentował elegancki nawrót nad drzewami i powrócił nad poprzednie miejsce, po czym wylądował precyzyjnie na łące. Operator filmował nieprzerwanie, bez jednego cięcia.

– A niech to! – sapnął Harper i wyciągnąwszy z kieszeni marynarki wielką, kraciastą płachtę otarł pot z byczego karku. Pokaz zainteresował go naprawdę.

Tymczasem Ronson zszedł z nieruchomej już kanapy i ustawił się przed kamerą na tle Chevroleta, ciągle wiszącego na wysokości trzech metrów. Podniósł mikrofon i zaczął mówić dalej.

„Tak więc jak Państwo widzicie, sprawa jest poważna i powtarzam jeszcze raz, że najważniejsze w tym wszystkim jest owo źródło energii elektrycznej wytwarzanej na zasadzie całkowitej, bezodpadowej przemiany masy w energię. Może nie pamiętacie, ale to właśnie owo równanie z początku filmu. Słynne równanie Einsteina, oznaczające całkowitą równowagę masy i energii. Pozostawał tylko jak dotąd problem realizacji. Nie ma jednak rzeczy niemożliwych i Panie Harper, ja to zrobiłem a przy okazji niejako, rozgryzając problem równowagi odkryłem antygravitację. Zdajecie sobie chyba

sprawę z tego, że taki numer może radykalnie zmienić świat? Tak radykalnie, że pewne jak w banku, he, he... szwajcarskim, są wszelkie możliwe opory. Na tyle duże proszę Państwa, że nieumiejętna próba masowego wdrożenia może się dla mnie skończyć fatalnie. Mam tu na myśli potężne lobby energetyczne, kablowe, transportowe, górników, producentów baterijek i akumulatorów, kolejarzy i innych pasożytów. Ale nie tylko. To moje źródło mocy jest tak dobre że „kosi” mnóstwo innych urządzeń i branż, dajmy na to łącznościowców czy rolnictwo.”

„No cóż, szczegóły na potem. Już wiecie wystarczająco dużo żeby sprawę przemyśleć. Teraz jeszcze zademonstruję konieczny proces niszczenia śladów i przejdziemy do innych konkretów.”

Bohater przedstawienia wyjął z kieszeni małego pilota TV i tu nastąpiło pierwsze, niezauważalne dla niefachowca cięcie w obrazie. Widocznie tylko poprzednie sceny były przeznaczona wyłącznie dla Harpera. Ronson wycelował w kanapę pilotem i zasterował w taki sposób, że ta, najwyraźniej zdalnie sterowana, uniosła się błyskawicznie na znaczną wysokość, tak, iż stała się maleńkim punkcikiem na zachmurzonym niebie. Następnie nadał jej potworną prędkość, kierując pionowo w dół. W ułamku sekundy nastąpiło zderzenie z ziemią i w bezpiecznej odległości od kamery wykwitł brudny gejzer bezceremonialnie potraktowanego gruntu. Kanapa rozerwana na miliony fragmentów przestała istnieć. Ronson skrzywił się do kamery, prawdopodobnie miał to być uśmiech, i dokładnie taką samą imponującą operację niszczenia przeprowadził z Chevroletem Cabrio.

Obraz ściemniał i znów na ekranie pojawiło się znajome już równanie, po czym ponownie usłyszeli zniekształcony głos.

„Panie Harper. Szanowni Państwo. Idealistą raczej nie jestem a mój główny cel to pieniądze. Ogromne pieniądze. Przyzna Pan, że sprawa jest tego warta. Problem jednak w tym, żeby nie dać się wyeliminować przedwcześnie, to znaczy mówiąc krótko i po prostu... dać się zabić. Tak, tak, panie Harper, zabić. Mój plan

jest następujący...”

„Podobne informacje co pan, otrzymało kilkunastu innych facetów z różnych branż, poczynając od wojska a skończywszy na rolnictwie, pańskiej konkurencji i rządzie oczywiście. Niebawem zorganizuję oficjalny pokaz z ekspertami, kamerami, światłami, koktajlami i tak dalej. Wszyscy panowie zostaniecie wcześniej dokładnie poinformowani co, gdzie, kiedy i przygotujecie się do tego odpowiednio, według instrukcji. W zamian, każdy z Was otrzyma dożywotnio po jednym procencie udziału w zyskach płynących z masowego stosowania moich wynalazków. Ten jeden procent panie Harper to nie mniej niż 25 milionów dolarów rocznie. Do końca życia. Ale panie Harper. To ja płacę i ja wymagam.”

Tu już Harper nie wytrzymał i zastopował video. Mimo swojej tuszy nie był w końcu idiotą i pojąwszy wagę tego co właśnie zobaczył, autentycznie wystraszył się i zgłupiał. O co w końcu temu Ronsonowi chodzi? Zrobił wspaniałe wynalazki, w porządku, niech się martwi sam, po co wciąga w to innych, zwłaszcza starszych, poważnych facetów na poważnych stanowiskach? Niech się zwraca ze swoją sprawą do Cornicka. Chyba, że jest to złośliwy żart zawistnych kołesów z innych stacji, albo jeszcze gorzej, paranoiczne majaczenia jakiegoś odstawionego i zdesperowanego uczonego półidioty?

– Co o tym myślisz? – zagadnął do Susan. – Co to za brednie?

– No... nie wiem Sam, nie znam się na tym.

– A na czym tu się trzeba do cholery znać?

– Cóż..., jeśli idzie o materiał to jest zrobiony rzetelnie i... no... mówi raczej prawdę.

– Nie chrzań. Tyle to i ja wiem.

– W każdym razie czuję, że sprawa jest interesująca.

– Czujesz?

– Tak.

– Niech to szlag! A dokładniej?

– Myślę, że chyba trafiła ci się życiowa okazja. Wreszcie możesz ruszyć tę swoją grubą dupę i zrobić coś nietypowego.

– No, no.

– W gruncie rzeczy jesteś porządnym starym pantoflarzem, i chociaż twoja żona tresuje cię jak ta lala, powoli pleśniejesz. Jeszcze pięć lat i będziesz całkiem do niczego – wyrzuciła z siebie zaczerwieniona Susan. – Mówię tak dlatego, że propozycja tego, jak mu tam... Ronsona, jest rozsądna, chociaż może... na pewno zaskakująca.

– Owszem, zaskakująca.

– W takim razie teraz wychodzę i rób sobie co chcesz, nic mnie to nie obchodzi. – zdenerwowała się w końcu natrętną indagacją.

– Zaraz, zaraz, zaczekaj! – Zaskoczony tą rzadkiej długości i ekspresji tyradą, zdobył się na serdeczniejszy ton. – W końcu nie mam nikogo z kim mógłbym taką sprawę obgadać a poza tym do cholery jesteś moją prawą i lewą ręką. We wszystkim.

– A Cornick? Przecież to twój wspaniały kumpel no i szef?

– Ba! Owszem, ale wiesz, on ma na głowie tysiące innych spraw. Kłopoty z dziećmi i tak dalej. Sama rozumiesz. – Harper wyraźnie stracił zwykłą pewność siebie i zaczynał jak zwykle głupio kręcić.

– Dobrze, dobrze. Kawał z ciebie drania ale i tak zawsze znajdzie się ktoś cwańszy. – Susan usiadła ponownie wyciągając chusteczkę – Wiesz równie dobrze jak ja, że Cornick wykorzystuje cię maksymalnie, w dodatku za psie pieniądze, no ale to jest twój cholerny kumpel, prawda?

– Co ty pleciesz Susan? – zaperzył się na serio.

– Tak, tak. Nie mówmy teraz o tym. Lepiej oglądajmy to draństwo dalej.

– Może i racja. – mruknął zaskoczony Harper i ponownie uruchomił odtwarzacz.

„I to na razie wszystko. Proszę się o nic nie martwić i spokojnie czekać. Niebawem skontaktuję się z panem ponownie. Do widzenia.”

Obraz ściemniał łagodnie i mimo że wpatrywali się w monitor jeszcze chwilę, nic więcej nie usłyszeli ani nie zobaczyli.

– Słuchaj Susan. – ocknął się ugodowy już Harper. – Ty masz różne dziwne koneksje. Jeśli już chcesz wyjść to dowiedz się czegoś o tym Ronsonie. Może znajdziesz coś na naszym uniwerku, może jakiś znajomy coś słyszał, sama rozumiesz? I nie krzycz na mnie.

– Dobrze Sam, niech ci będzie. Skończę tylko tę głupią robotę i wychodzę na przeszpiegi. – Susan znowu zaczęła tłuc w klawiaturę maszyny, skonfundowana nieco swoim wybuchem a jej szef, dla uspokojenia, zakopał się na dobre w stosie papierów. W gabinecie jak zwykle zapanował kojący, pracowity klekot zużytego już nieco mechanizmu.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”